

Pani Dudkowa



ELIZA ORZESZKOWA

Pani Dudkowa

WSPOMNIENIE

Opowiem zdarzenie prawdziwe. Nic nie dodam, nic nie ujmę; opowiem tak jak było. Historia nieduża i jak prawie wszystkie historyjki tego świata, z początkiem wesołym, a z zakończeniem smutnym. Jeszcze teraz, gdy ją czasem wspominam, czyni mi się smutno i jakoś wstyd. Nie za siebie. Za kogóż? Może za ród ludzki. Przed kim? Przed ptakiem...

Dawno... dawno... dawno temu, — jeszcze słońce życia na południowym punkcie niebios stało, — przyjechaliśmy z miasta na wieś, na kilkumiesięczny pobyt na wsi pięknej, malowniczej.

Pierwsze dni pobytu na wsi, to dla mieszkańców miasta po zimowej szarzyźnie, ciasnocie i pracy, święto słońca, błękitu przestworza, wolności. Starzy uczuwają się młodymi, smutni wesołymi, słabi krzepkimi, a w młodych i silnych każde odetchnięcie wlewa rozkosz, każde zatoczenie dokoła wzrokiem nieci gorące skry. Nie chodzą, ale biegają, nie mówią, ale śmieją się i śpiewają. Wszystkie nielubienia i zażalenia wzajemne nikną, skargi nietylko na ustach, lecz i w sercach milkną, z dusz zwalają się ciemne mary, a nawet te, co są do krwi serdecznej czerwone, bledną i zwijają się w kątach dusz — skurczone, oniemiałe, zwyciężone do czasu.

Potem, wkrótce może i tu nadejdą szare słoty, zaszumią smutne wiatry, do dusz z powrotem wślizną się złe mary. Ale te pierwsze dni... nic tylko radość, lekkość, wesołość, zapomnienie — zachwycenie.

Sporo nas było starszych i młodszych, ale wszyscy, bez wyjątku, czuliśmy się weseli, ucieszeni, ukojeni, zachwyceni.

Pod czystym morzem błękitu niebieskiego, ogród rozlewał jezioro zieloności majowej, białe akacje kwitły. W powietrzu zapachy róż, ziół dzikich, sosen pobliskiego boru; w drzewach szczebioty, śpiewy, fruwanie skrzydeł drobnych. U stóp wybrzeża wysokiego, pas Niemna z falą bogatą, spokojną.

Jeszcześmy wszystkich cudów, które nas otoczyły, wzrokiem, słuchem i powonieniem ogarnąć nie zdołali, jeszcześmy wszystkich dróg i zaciszy rozległego ogrodu nie zwiedzili, gdy usłyszeliśmy w głębi jego rozlegające się wołanie jakiegoś ptaka. Głośno i wyraźnie odcinało się od innych dźwięków i szmerów ogrodu i było nam nieznane. Zrazu zawołał ktoś: kukułka! Ale nie. Coś bardzo podobnego do kukułki, ale nie ona. Frazes tak samo jak u kukułki z dwóch sylab złożony, jednak *hu-hu* raczej, niż *ku-ku* wyczuwać w nim można i wygłaszany tak samo donośnie, ale tonem mniej czystym i dźwięcznym, raczej głuchym i chrapliwym.

Po przysłuchaniu się ktoś z towarzystwa rzekł:

— To jest dudek!

Dudek! Co za radość! Aż śmiech pomyśleć, że komukolwiek na świecie drobiazgi takie źródłem radości bywać mogą! Wielu z nas ptaka, w stronach tych rzadkiego, nigdy jeszcze nie widziało... Skąd się wziął? Nie było go tu lat zeszłych! Jak wygląda? Coś nakształt wrażenia, które sprawia przybywający do stolicy w sezonie zimowym artysta sławny, a jeszcze nieznan. Zobaczyć, zobaczyć go co najprędzej! Tylko, że tu nie trzeba było ani biletu do łoża teatralnej, ani toalety, ani karety. W mgnieniu oka kilka młodych kobiet znalazło się w głębi ogrodu z nadzieją w sercu, że ujrzą tam — dudka. Panowie nam nie towarzyszyli. Po cóż?... Wszakże to nie taki ptak, którego na polowaniu zabić, a potem zjeść wypada!

Idziemy tedy cichuteńko pod rzędem rozłożystych klonów i jesionów, patrzymy, słuchamy... Wtem, blisko, blisko, pośrodku kwatery ogrodowej, owocowemi drzewami zasadzonej, rozlegać się zaczyna i po wiele razy rozlega się trochę chrypliwe, ale donośne, wesołe: hu-hu! hu-hu! Biegniemy przez szarpiące nam suknie krzaki agrestowe, po trawie usianej szafirowemi oczkami weroniczki, przybiegamy do starej, rozłożystej gruszy i stajemy jak wryte, dech w sobie tłumiąc. Tu, niewysoko, w dziupli grubego pnia gruszy gniazdo... Ale, zanim zdołałyśmy zajrzeć do dziupli, z gałęzi porwał się i nad głowami naszymi przeleciał ptak sporej wielkości, z opierzeniem brunatnym i dużym czubem z piór u wierzchołka głowy. W tym czubie dudkowym mignęło nam przed oczyma coś hardego i buńczucznego, co zdawało się mówić: „jestem sobie zuch i pan! Jestem sobie pan! pan!”

Odrązu zaczęliśmy go nazywać panem Dudkiem. Zląkł się nas jednak ten zuch i pan. Odleciał, a zarazem umilkło w powietrzu jego głośnie, wesołe: hu-hu!

Ale z brzegu dziupli trochę tylko na skrzydełkach wznosił się i u brzegu najniższej gałęzi osiadł drugi ptak, zupełnie do tamtego z wielkości i opierzenia podobny, tylko z mniejszym pękiem piórek nad głową. Domyśliliśmy się, że była to pani Dudkowa. Ta nie uciekała. Bała się nas czy nie bała — jej tylko było wiadome, ale nie odleciała, nie uciekała... U brzegu wiotkiej gałęzi, która kołysała się pod ciężarem, na straży gniazda pozostała jakby skurczona, zjeżona, z szyją w kierunku naszym wyciągniętą, patrzyła na nas dwojgiem małych, czarnych oczu, do których w tej chwili wstąpiła cała jej dusza ptasia, dusza zaniepokojona, badawcza, pytająca, jakby prosząca... W dziupli grubego pnia gruszy znajdowało się gniazdo, a na dnie jego czworo dudziąt malutkich, zaledwie opierzonych i które zdołałyśmy przeliczyć, ale którym nie zdołałyśmy przypatrzeć się dokładnie, bo pożałowałyśmy matki i, niepokoić jej dłużej nie chcąc, odeszłyśmy, tak jakeśmy przyszły — cichuteńko, na palcach.

Ale odtąd, rodzina Dudków, w ciemnej dziupli gruszy mieszkająca, stała się przedmiotem naszej czulej sympatii i troskliwości. Bywają w życiu takie momenty, w których człowiek kocha trawę, kwiaty, ptaki, wita się z nimi codzien, jak z dobrymi znajomymi czy przyjaciółmi, cieszy się ich świetnością, współczuje ich biedom, a one nawzajem rozlewają po jego dniach i sercu uciechę i ukojenie. Może to są takie momenty, w których kochanie ludzkie rozlewać po nich zaczyna zasmucenie i niepokój.

Przedewszystkiem, nowo zawiązana znajomość wzniesła wśród towarzystwa naszego kwestję lingwistyczną. Matkę rodziny dudków nazwałyśmy odrazu: panią Dudkową, ale wkrótce ktoś z towarzystwa, purysta językowy, przekonywać nas począł, że według zasad mowy polskiej, mówić należy nie Dudkowa, ale Dudzina. Miał słuszność, lecz żeśmy już formy naszej po wiele razy użyły i że się nam ona podobała, zakrzyczyłyśmy pedanta i pozostałyśmy przy brzmieniu: pani Dudkowa.

Codzienn, a czasem i kilka razy na dzień, jedna, dwie z nas, lub wszystkie razem w jasną, słoneczną pogodę szłyśmy w głąb ogrodu i najciszej, najspokojniej, jakeśmy tylko mogły, zbliżywszy się do starej gruszy, przyglądałyśmy się życiu i wzrostowi rodziny dudków.

Z panem Dudkiem bliskiej znajomości zawiązać nie było podobna, bo najczęściej w domu go nie bywało. Czasem jednak siedział w chwili naszego przyjścia na gałęzi nad gniazdem rozpostartej w wyprostowanej postawie, zuchowaty i wesoło hukający, ale przy zbliżeniu się naszym odlatywał i albo zupełnie z oczu nam znikał, albo na niedalekiem drzewie osiadłszy, krył się w jego listowiu tak, że tylko brunatny czubek niepewnie jakoś i wcale nie buńczucznie wyglądał z za listowia.

Ale ona zawsze zostawała, coraz mniej niespokojna, coraz ufniej spoglądająca na nas z grubego sęku drzewa, albo z najbliższej gałęzi... Przynosiłyśmy i rozsypywały u stóp drzewa ziarna i okruchy bułki, które ona po oddaleniu się naszym zbierała i w głąb dziupli zanosila. O kilka kroków tylko stojąc, przypatrywałyśmy się jej zlatywaniu na ziemię i wlatywaniu do gniazda i ta bliska obecność nasza w niczem jej nie przeszkadzała. Aż przyszło do tego, że zaczęła odzywać się do nas. Gdyśmy zbliżyły się, wydawała z gardziółki dźwięki krótkie, jakby poufałe: dzień dobry! lub przyjacielskie: co nam dziś przynosicie? Ani myślała już o żadnym strachu i spokojnie pozostawała na miejscu, gdzie znalazło ją nasze przybycie, najczęściej na dużym sęku, sterczącym u samego otworu gniazda.

Widząc tedy, że nie sprawiamy przykrości żadnej matce, śmiało przypatrywałyśmy się dzieciom. Zaglądając do dziupli, widziałyśmy na jej dnie cztery główki, cztery dzióbki i niewyraźne w zmroku gniazda cztery ciała coraz większe. Wzrastały szybko i już nawet

rozpoznać można było zarysy powstających nad główkami czterech czubków. Niezmiernie miłe wydawały się nam te małości i nie szczędziłyśmy dla nich ani ziarn, ani okruchów, ani pieszczotliwych słówek, które im były najpewniej obojętne, ale matce zdawały się podobać, przynajmniej nie budziły w niej żadnego niepokoju ani niezadowolenia. Siedziała sobie wtedy spokojnie na gałęzi lub na sęku, kręcąc czubatą głową, czarnymi, żywymi oczkami rzucając we wszystkie strony i niekiedy cichym słowem naszym przywórtając krótkimi, ale licznymi dźwiękami, jakby mówiła: tak! tak! śliczne są, miłutkie są te moje dziatki!

Raz, wśród nocy, powstała silna burza z grzmotami i wichurą. Słyszałyśmy, jak za oknami szumiała ulewa, drzewa miotane wichrem skrzybiały, piorun kędyś w głębi ogrodu uderzył. Nikt spać nie mógł i wszyscy uculi, że w noc tak straszną, raźniej jakos będzie w gromadzie. Wyszłyśmy tedy ze świecami w rękach z naszych sypialni i zaledwie spotkałyśmy się w bawialnym pokoju, jedna z nas zawołała:

— Co tam dzieje się z naszymi dudkami!

A inne:

— Może to w tę gruszę piorun uderzył?

— Wicher może ją złamać!

— Ulewa gniazdo im zaleje...

Biadania te nasze nad przypuszczalnym nieszczęściem dudków panowie podsłuchali i nazajutrz, wiele było śmiechów i żartów na temat: jakie to bywają troski niewieście!

Ale po burzy nocnej, dzień zajaśniał prześliczny. Pobiegłyśmy do starej gruszy. Stoi brylantowa od świecących w słońcu kropel nocnej ulewy, w dziupli są, jak były, cztery dzióbki i cztery czubki, już spore, a przyjaciółka nasza, pani Dudkowa, siedzi na mokrym sęku i z głową ku skrzydłom odkręconą, dziobem pióra sobie wygładza, może osusza. Popatrzała na nas i wróciła do starań około toalety swojej, przez ulewę i wichurę nocną nadwierzona; przyczem odzywała się czasem, jakby mówiła: no, no! wszystko dobrze! bieda była, ale przeminęła! Malutkie dobrze się mają!

Niebawem jednak przyjść miała bieda inna, daleko sroższa i taka, która nigdy już przeminąć nie mogła. Zawsze tak bywa; przychodzą na istoty żyjące biedy różne, przemijają i znowu wszystko dobrze, przyjdzie taka, która przeminąć nie może i po której nigdy już istocie żyjącej nie będzie dobrze.

Siedzieliśmy wszyscy na obszernym ganku, z którego widać było znaczną część ogrodu, szereg klonów rozłożystych, białe ławki pod klonami, błękitny Niemen i płynące po nim żółte tratwy. Było nas osób z dziesięć, rozmowa toczyła się ożywiona i gwarna, gdy nagle na drewniane ogrodzenie ganku spadł duży, brunatnej barwy ptak i w nieruchomej postawie jakby zastygł. Od pierwszego wejrzenia poznałyśmy w tym ptaku panią Dudkową i pierwszym uczuciem naszym było zdziwienie. Czego ona tu przyleciała? I jak to być może, aby ptak nie oswojony tam przylatywał, gdzie znajduje się tylu ludzi i taki gwar głosów ludzkich panuje? Czy tak bardzo oswoiłyśmy już ją z ludzkimi postaciami i głosami, że całkowicie lękać się ich przestała? I co ją tu sprowadziło? Czy przyleciała w odwiedziny do nas? Skądże wie, że tu mieszkamy i jaka być może pobudka odwiedzin? W tem coś jest, o, jest. Siedzi na poręczy ganku, jakby zastygła, czy zmartwiła, głosy nasze ożywione i nawet podniesione żadnego na nią wrażenia nie wywierają i tylko oczy swe przenosi wciąż z jednej z nas na drugą, drobne, czarne oczy, w które znowu zbiegła się cała jej dusza ptasia, ale tym razem przerażona, skarżąca się, żalosna. Ani wyobrażam sobie, by postawa i oczy ptasie wyrażać mogły taki przejmujący, bezgraniczny ból... Wszyscyśmy go dostrzegli i któryś z panów nawet, żartować przestając, serjo rzekł:

— Ptaka tego spotkało jakieś nieszczęście... to widoczne! Ale dlaczego on tutaj właśnie przyleciał?

Otóż to! Nieszczęście! ale jakie? i dlaczego tu przyleciał?

Powoli, ciężko opuściła się, a raczej spadła z poręczy ganku na podłogę i prawie u samych stóp naszych przechadzać się poczęła. Dziwna to była przechadzka. Chodziła tak blisko nas, że piórami dotykała prawie brzegów naszych sukien i z głową podniesioną patrzyła nam w twarze tem dwojgiem czarnych oczu żalości pełnych i zarazem jakby pytających, proszących. Trwogi od tak bliskiego zetknięcia się z ludźmi, najlżejszej nawet obawy, nie widać było na niej ani śladu, tylko cały wyraz jej istoty i tych podnoszących się wciąż ku nam oczu, objawiał, obok bólu, jakby zapytanie naglące, jakby niemą, lecz

przejmującą prośbę. Zdawać się mogło, że u stóp naszych szuka czegoś, że nas o coś zapytuje i o coś błaga... Patrzyliśmy zdziwione, zasmucone, bezradne, gdy ktoś zauważył:

— Może skaleczona? ratunku szuka?

Prawda! Może skaleczona? Trzeba obejrzeć! I biała dłoń kobieca, gotowa do ratowania i pieśczości, sięgnęła po ptaka. O, nie! Na to nie pozwoliła! Ująć się nie pozwoliła. Furknęła skrzydłami i odleciała, ale niedaleko, pomiędzy akacje, tuż przy ganku rosnące, gdzie zawiesiła się, dzióbem ku gankowi zwrócona i zamarła w nieruchomości, oczu z ganku nie spuszczać. Miała widoczną ochotę powrócić, ale lękała się. Teraz to już lękała się i kto wie, jaka walka, jak ciężka, toczyła się w niej przez chwilę pomiędzy trwogą a niepojętem dla nas żądaniem, czy nadzieją. Ostatnie zwyciężyły. Zleciała z drzewa, znowu na poręczy ganku usiadła i z oczyma w nas wlepionymi, zaczęła wydawać dźwięki wcale inne, niż te, któremi tam, nad gniazdem, zwykła była przemawiać do dzieci swoich i do nas. Dźwięki te chrypiały, skarżyły się, o czemś ogromnie smutnem opowiadały, o coś błagały... Było to tak wyraźne i przejmujące, że jeden z panów wstał i, odchodząc, rzekł:

— Róbcie sobie z tym biednym ptakiem co chcecie, ja na niego patrzeć nie mogę!

Nagle przyszło nam na myśl: może jaki wypadek z gniazdem?

Biegniemy w głąb ogrodu i ona za nami leci. Zaglądamy do dziupli: ani dzióbeków, ani czubków, ani główek maleńkich niema! Gniazdo opustoszałe! Dzieci porwane! Teraz wyjaśnił się nam bezgraniczny ból pani Dudkowej, ale nie wyjaśniło się — i nigdy w zupełności wyjaśnić się nie miało — dlaczego ona w nieszczęściu, które ją spotkało, do nas przyszła? dlaczego u stóp naszych właśnie zdawała się dzieci postradzanych szukać i w twarze nasze patrzyła z tak żalosnem pytaniem i błaganem? Pytania te, które rzecz prosta bez odpowiedzi pozostać miały, budziły w głębiach naszych uczucie bardzo przykre. Czy wypadkiem nie przypuszcza ona, że to my właśnie porwałyśmy jej dzieci? Czy dlatego właśnie nie szuka ich pomiędzy nami i czy nie błaga nas, abyśmy je oddały? Tak nam ufała, tak wszelką trwogę przed nami odrzuciła i — oto... Może to dziwna rzecz, może i śmieszna, jeżeli człowiek dba o uczucia i opinię o nim ptaka, ale faktem jest, że przypuszczalne podejrzenie pani Dudkowej o tak nędzną zdradę zaufania budziło w nas — zawstydenie i gorycz.

Ze zwieszonemi smutnie głowami szliśmy z powrotem do domu, gdy na dziedzińcu dały się słyszeć głosy służących wołające:

— To Tadeuszek! to Tadeuszek małe dudki wyjął z gniazdka! Kto widział? ja widziałam, jak niósł je tam...

I już służba domowa wiedziała o naszym zmartwieniu, już wytoczyła śledztwo i już przestępcę wynalazła.

Był to dziewięcioletni syn jednego z parobków dworskich, silne i piękne chłopię, z bujną czupryną złotą, z błękitnemi jak turkusy oczyma. Pociąg szczególny okazywał do muzyki i na jakichś skrzypcach bardzo pierwotnych przygrywał, a przygrywając, zarazem tańczył. Gra była rzempoleniem, taniec kręceniem się na jednym miejscu w podskokach nieco dzikich, ale kiedy wpadł w szal taneczny i przy odgłosie rzempolenia swego, bosy, w szarej koszulinie, kręcił się coraz szybciej i zawrotniej, to złota czupryna szeroko rozwiewała się mu dokoła głowy, rozpały się, rozbłyskiwały oczy turkusowe, czerwienią płonęła u szyi związująca koszulę tasiemka i stawał się podobnym do małego, silnego, ładnego faunika.

Lubiłyśmy Tadeuszka, znałyśmy jego rodziców, więc wnet do mieszkania tych ostatnich, do niego... Aleśmy go już w drodze zobaczyły boczącego się jakoś, zalęknionego. Chciał umknąć, ale go ktoś zatrzymał. Dowiedział się już skądciś, że wiemy o dudkach i że gniewamy się, więc trochę zląkniony wydawał się, ale daleko więcej zdziwiony.

— Wyjąłeś z gniazda małe dudki?

Z pełnym prawie spokojem odpowiedział:

— Wyjąłem.

— Po coś to zrobił?

Wzruszył ramionami.

— Czy ja wiem?

— Co z ptakami temi uczynić chciałeś?

— Czy ja wiem?

— Alboż nie słyszałeś o tem, że żyjących istot dręczyć i szkód im czynić niewolno?

— Czy ja wiem?

— Cóż z małemi dudkami uczyniłeś i gdzie są one?

Błysnęła nam nadzieja, że odzyskamy ptaszęta i choćby zmęczone, czy skaleczone odniesiemy matce.

Najspokojniej w świecie okrążył chłopak jakiś budynek i z jakiegoś kąta, ukrytego za jakąś ścianą, wyniósł cztery ptasie trupki. Poginęły śmiercią gwałtowną i znać było na nich ślady mordu: dwie szyjki skręcone, dwie główki zakrwawione.

— I po co zabijałeś je? Na co ci się one przydać mogły?

— Czy ja wiem?

Stał przed nami trochę tylko onieśmielony, ale bynajmniej nie zawstydzony, ani żalujący, owszem, indagacją, której poddałyśmy go, raczej nieco rozgniewany. Najzupełniej zresztą nie rozumiał o co chodzi. Poprostu nie wiedział: ani po co małe ptaki z gniazda wyjmował, ani po co je zabijał, ani że w tem cokolwiek złego być może, ani wogóle czego przyczepiliśmy się do niego — nie wiedział.

I co miałyśmy zrobić? Zakrwawione trupki dziecięce matce odnosić? Aby utwierdziła się w przypuszczeniu, że my to właśnie jesteśmy sprawczyniami porwania i mordu! Za nic! Poszłyśmy pod gruszę z rękoma pustymi i znalazłyśmy ją krążącą nad drzewem wkółko, wkółko, to wolniej, to szybciej, nieustannie, w milczeniu... O zachodzie słońca dopiero opadła ciężko pomiędzy wierzchołkowe gałęzie gruszy, którą powoli i cicho owijając począł zmrok gwiazdzistego wieczora...

Nazajutrz nie spostrzegłyśmy, nie znalazłyśmy już nigdzie przyjaciółki naszej, pani Dudkowej i nie widziałyśmy jej już odtąd nigdy.

Wesołe hukanie w głębi ogrodu pana Dudka — umilkło.

*

Jeszcze teraz, po latach, po wielu, gdy o wypadku tym wspominam, czyni mi się smutno i jakoś... wstyd. Nie za siebie wstyd, bom tu nic nie zawiniła, ale przed matką z ptasiego rodu za ród ludzki.

Dłaczegóż za ród ludzki, skoro to tylko Tadeuszek...

Ale ja i o Tadeuszkę, o jego: »czy ja wiem? « wspominając, wstydzę się teraz za ród ludzki...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/pani-dudkowa>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Ostatnie nowele*, nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0638-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).